



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. 5 marek

SONET

Błada Selene noc rozświeca ciemną,
Rzucając w mroki światło tajemnicze;
Pokojem tchnące i ciszą oblicze
Na wód powierzchni odbija przedemną.

Tak i jej liców wdzięki i słodczye
Uspokoily rozpacz nadaremna...
O! czemuż zawsze ty nie jesteś ze mną!
Czemuż chwil szczęścia tak zbyt mało liczył

„Nie jest ich mało! Szczęście nie odchodzi
„Nigdy od ciebie, odkądżeś już życie
„Narażać przestał na zwątpień powodzi...

„Choć ci i dzisiaj łzy płyną obficie
„Wiesz w którą stronę ster skierować łodzi:
„Przewodnia gwiazda błyszczy ci w błękiciel”
J. K. Ehrenberg.

SZWAB

SZKIC DO POWIEŚCI.

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Dalszy ciąg).

Mieczysław potarł ręką czoło i spojrzał przytomnie na wieś. Oko jego ogarnęło obraz nędzy

i opuszczenia. Chaty waliły się, z okien wyglądały wiechcie, któremi mieszkańcy pozatykali dziury, na drogach stały głębokie kałuże, ludzie wlekli się leniwo w podartych sukmanach. Poza szeroko otwartą bramą, której jedna połowa chwiała się na zawiasach, skrzypiąc żałośnie, widać było ogromne domowisko zaniedbane, jak całe otoczenie. Tynk opadał ze ścian, z frontu brakło wielu szyb, a na szczycie dachówek; szerokie stopnie kamienne, znajdujące się od strony zajazdu, popękały.

Mieczysław potrząsnął głową.

— Jacyś Wandale tu gościli — mruknął.

Zaledwo się powóz wtoczył na dziedziniec, ukazał się na progu wysoki starzec z długim rozwianym włosom i podniósł rękę do ocz.

— Ringhofen! a to dobrze, żeś się zjawił — zawołał pan Szulc. — Już myślałem, że zapomnisz o starym. Bóg zapłać ci, mój chłopcze.

Mieczysław ścisnął rękę pana Szulca.

— Nie zaprowadź cię do salonów, bo nie posiadam ich już dawno — mówił gospodarz — ale co tam młodemu po tych głupstwach! Gdy byłem w twoim wieku, sypiałem na świętej ziemi i dyabli mnie nie wzięli.

Weszli do obszernego pokoju, zastawionego szafami pełnymi książek. Na prostych stołach walały się tu gazety, czasopisma, papiery. W kątach znajdowało się mnóstwo broni różnego gatunku: zardzewiałe szable, połamane szpady, dubeltówki.

— No, siadaj, proszę cię. Czem ci mogę służyć? Wina nie mam; chyba napijemy się gorzalki, co?

— Serdecznie panu za wszystko dziękuję, bo jestem co dopiero po obiedzie — odparł Mieczysław, sadowiac się na kulawem krześle, z którego zdjął przedtem jakieś zakurzone szpargały.

— Oho, paniczowi nie smakuje kordyał. Gdybyś to dawniej był do mnie zawitał, nie wymawiałbyś się obiadem.

— Ależ, panie dobrodziej... —

Tylko się nie tłómacz. Znam was, ptaszki. Kiedy w piwnicy czekały na gości butelczyny, co to, panie dobrodziej, dziadów moich pamiętały...

Mieczysław nie pozwolił kończyć staremu.

— Jeśli panu idzie o to, abym się z panem napił, choćby nafty — odezwał się — proszę rozkazywać.

— Bravo, takich lubię! Tęgi z ciebie chłop! W ręce twoje!

Pan Szulc łyknął spory kieliszek żytniówki i podał go Mieczysławowi, który uczynił to samo.

— A co? drapie?

— Drapie, niech ją... — zawołał gość, który się zakrztusił.

Stary śmiał się weselo.

— Nie taką ja oparę pijałem. Ale może poprawimy, he?

— Niech Pan Bóg broni!

— A widzisz, jaki to z ciebie zuch! Wy dziś wszyscy tacy. Nawet uczciwego węgrzyna już pić nie umiecie, tylko jakąś tam wodę ocukrzoną. A teraz niechże usłyszę, jak się w Plewiskach urządziłeś?

Kiedy Mieczysław opisywał dziedzictwo swoje i rozповідаł o zamiarach na przyszłość, kiwał pan Szulc ciągle głową.

— Wybornie, wybornie — odezwał się, gdy gość sprawozdanie swoje skończył. — Z ciebie, jak widzę, znakomity rolnik. Chyba kształciłeś się na agronoma?

— Matka, przewidując, że wuj zapisze mi kiedyś majątek rodzinny, kazała mi się uczyć rolnictwa — odpowiedział Mieczysław.

— Mądra kobieta! Ktoby się tego po cichej Anusi był spodziewał? Proszę, proszę. Gdyby to nas byli tak chowali, jak was, nie byłibyśmy zesłali na psy.

— Jakżeż z tą subhastą? — podchwycił Mieczysław szybko.

— A sprzedadzą mnie, sprzedadzą — mówił stary. — Stukałem do różnych bram, laziłem, prosiłem — nie zdało się na nic. Wszystko mi już obojętne. Jakoś tam będzie, a gdyby mi przyszło dokonać żywota rzeczywiście gdzie pod płotem, to i co? Lepsi odemnie umierali gorzej, i musiało być dobrze. Jechał sęk frasunek.

Mieczysław zapatrzył się w dziurawą posadzkę, jakby się nad czymś namyslał, nagle podniósł się z krzesła i wyrzekł głosem stłumionym:

— Wiem, że panowie byliście z wujem moim przyjaciółmi. Może nieboszczyk, umierając...

Zatrzymał się, odwracając oczy w stronę okna. Wstydził się czegoś.

— Może wuj był pańskim dłużnikiem — dodał po chwili szybko.

— Witold moim dłużnikiem? Co też to wygadujesz, chłopcze? Odwrotnie, winien mu jeszcze jestem kilka tysięcy.

— Może chciał panu dobrodziejowi zrobić jakiś zapis, ale nie zdążył, zapomniał?

— Co się tobie roi? Do czego ty zmierzasz, hę?

Stary ujął młodemu za rękę i spojrzał mu w oczy.

— Przyznaj się, ty masz coś na sumieniu — zawołał.

— Bo przecież niepodobna, aby panu zabrali na starość dom rodzinny.

— Dlaczego nie mają? Co ich to obchodzi? Zabiorą, zabiorą.

— Byłby to srom dla całego kraju.

— Sam zawiniłem. Trzeba było pamiętać o sobie.

— To być nie może.

— Nie będzie inaczej.

— Ja na to nie pozwolę.

— Ty!...

Pan Szulc otworzył szeroko usta, a Mieczysław sięgnął do kieszeni tużurka, wydobyl z niej zwój papierów bankowych i podając je starcowi, mówił:

— Proszę, zapłać pan zaległe raty Towarzystwu... za kilka dni będę w Rekowie... wtedy obmyślimy wspólnie, jak ocalić dla pana spokojny kącik... nie dziękuj pan... obowiązek obywatelski... szczęśliwy jestem, że mogę pomódz przyjacielowi mojemu wujowi... do widzenia... do milogo...

I wyrwał ręce z objęć starca i uciekł z pokoju, jak po dokonaniu zbrodni. Bładość wzruszenia zbieliła jego twarz. Na dworze krzyknął:

— Zajeżdżaj!

Zanim pan Szulc zdążył wybiedz za nim, siedział już w powozie i, uchyliwszy czapki, wołał:

— Do widzenia, za kilka dni będę w Rekowie. Ruszaj!

Konie porwały lekki wolant i uniosły go z miejsca.

Pan Szulc stał na progu swojej rudery i patrzył za odjeżdżającym gościem. Z jego zmęczonych oczu ściekały dwie łzy, zbliżając się wolno do siwej brody.

— Jeszcze nie upadło społeczeństwo, które takich wydaje ludzi — szepnął.

A Mieczysław zawinął się w płaszcz futrzany i uśmiechał się do siebie z zadowoleniem. Czuł w tej chwili rozkosz dostatku.

I znów zawisł nad nim uciśniony amorek, tym razem z czarodziejską kądzielą w różowej dłoni, i przął złotą nić marzeń, którą obwijał czoło młodzieńca.

Mieczysław zasunął powieki, a mimo to widział przed sobą szafirowe oczy Ksawery Złotnickiej.

V.

Od bytności Mieczysława w Rekowie minęły dwa miesiące. Surowy gość zawitał tymczasem do kraju. Pokrył on pola i łąki grubą warstwą śniegu, jeziora ściała lodem, powietrze nadziało

ostremi szpilkami, lasy ustroił w miliardy brylantów i brylancików, a słońce zagasił na niebie.

Jak w białej spowite pościeli, odpoczywały sioła po ciężkiej pracy wiosny i lata. Wesołe krzyki nie rozbrzmiewały na drogach, umilkły śpiewy, na podwórzach tylko folwarcznych rozlegał się jednostajny stukot cepów, lub odzywał się głuchy turkot machin.

Chłopi wyglądali z upragnieniem skowronków, a panowie bawili się kartami, wizytami lub polowaniami.

Pan Rogowski był naczelnikiem nemrodów powiatowych. Gdzie strzelano, zjawiał się zawsze, proszony czy zapomniany, a zawsze chętnie witany. Za to wyprawiał i u siebie corocznie wielkie zebranie myśliwskie, na które wolno było każdemu przyjechać, kto posiadał fuzyj i dobre oko.

Tym razem przypadła „uciecha rogowska“, jak nazywano w okolicy pukanie pod komendą starego szlachcica, na koniec Stycznia.

Od samego rana zjeżdżali się goście bryczkami, wolantami i powozami, dworno i zbrojno, a go spodarz, ubrany w krótki kożuszek, przepasany szerokim rzemieniem, w długich butach, z kordelasem przy boku, otwierał przed każdym po tężne ramiona, ścisnął wszystkich, całował.

— Bywajcie mi, bywajcie — wołał. — Jak to dobrze, że zaszczyciliście całą kupą moje niskie progi.

Nizkie były rzeczywiście drzwi małego, podłużnego dworku rogowskiego, ale wewnątrz znalazło się miejsce dla wielu osób.

Po śniadaniu, składającym się z wódki, przekąski i bigosu, wyruszyli wrogowie szaraków do „roboty“. Wsiadłszy na wozy drabiniaste, udali się na pierwsze stanowisko pod lasem. Sam go spodarz kierował z konia wyprawą, pojechawszy naprzód z naganiaczami.

Wzdłuż drogi, pod zagajnikiem rozstawili się myśliwi, rozdzieleni przestrzenią kilkudziesięciu kroków. Mieczysławowi dostało się miejsce obok Jastrzębca, za którym czatował na zwierzynę jakiś młody panek, mający za sobą służącego do nabijania strzelby.

Cisza oczekiwania zaległa wokoło. Panowie zapatrzyli się w las, wstrzymawszy oddech. Każdy spoglądał chciwie przed siebie, przygotowawszy broń do strzału. Zdawało się, że śledzą ruchy nieprzyjaciela kraju, że do krwawego gotują się odwetu. Tak skupieni byli i wsluchani w szmery boru.

Ale drzewa milczały jeszcze. Nawet wrona nie przeleciała nad wierchołkami sosen.

Owemu paniczowi z lokajem sprzykrzyła się snadź męcząca postawa, bo oddał fuzyj służącemu i zbliżył się do Jastrzębca.

— Któż to tam stoi? — zapytał po francuzku, wskazując na Mieczysława.

— To ten szwab, który nam w drogę wchodzi — odmrunknął Jastrzębiec w tymsamym języku.

— Mnie nie, chyba tobie.

Panicz uśmiechnął się złośliwie.

— Podobno zabierze ci Ksawercię. Słyszałem, że bywa bardzo często w Radliszczach, że Złotnicy nie są od tego, aby wydać za niego dziewczynę, która się wcale bronić nie będzie, jak mówią w sąsiedztwie.

Jastrzębiec przygryzł dolną wargę.

— Nie masz się czego martwić — mówił panicz dalej. — Jest jeszcze w Warszawie kilka bankierów, które ożłocą z chęcią twoją tarczę herbowną. Ale śpiesz się, bo koledzy nasi wyławiają chciwie tłuste rybki z wód Jordanu, a tobie nie wolno zwlekać.

— Wolne żarty, hrabio — syknął Jastrzębiec.

— Dlaczego żarty? Nie tacy, jak ty, mój drogi, pożeni się z finansami i nie skarżą się. Cymes już i tak zabrano; będziesz się musiał zadowolić podlegszym gatunkiem. Jeśli chcesz, mogę cię zaprezentować kilku nadobnym dziewczynom z Żelaznej Bramy.

— Dajże pokój, Alfredzie.

— Mówię zupełnie poważnie, Zygmuncie. Dawidson nie chce już dłużej odkładać subhasty Gościelca. Nic tu nie wysiedzisz, mój drogi, bo

z tym tam (wskazał znów na Mieczysława), nie dasz sobie chyba rady. Urodziwy, bogaty, wykształcony, i oile słyszę, szlachetny i uczciwy nawskroś. Że się nazywa Ringhofen? Tylko z bogaceni żydzi łąkną naszych firm wyzarszanych.

— Widzę, że i ty zaczynasz się rozkochiwać w tym....

Jastrzębiec chciał dodać, jakiś wyraz obelżywy, ale połknął go, spojrzawszy ukradkiem w stronę, w której stał „szwab“.

Powtórnie błysnął w oczach hrabiego uśmiech złośliwy.

— Dlaczego nie miałbym się w nim kochać — mówił — kiedy wszystko, co o nim słyszę, usposabia mnie dobrze dla niego? Starego Szulca wyrwał ze szpon Towarzystwa, u siebie założył kasę oszczędności dla chłopów, ubogich wspiera, sąsiadom nie odmawia przysług, postępuje jak dżentelman i pracuje dużo. To człowiek pełen zalet, zasługujący na szacunek. Każę mu się dziś przedstawić, a jutro złożę mu wizytę.

— Udajesz moralistę, jakgdybym cię nie znał — mrunknął Jastrzębiec.

— Chcesz powiedzieć, że jestem sam próżniakiem, lampartem i utracjuszem. Nie wypieram się. Nie wynika jednak z tego wcale, abym nie miał uznać w kimś innym zalet, których sam nie posiadam. Podziwiam zawsze ludzi lepszych od siebie.

Wtem odezwały się zdala nawoływania naganiaczy. Hrabia wrócił na stanowisko i wziął fuzyj z rąk sługi. Głosy zbliżały się, rosły, zapęłniły cały las. Nagle rozległ się z brzegu pierwszy strzał i rozplynął się długim echem między drzewami. Huk podbudził krwiożerczość myśliwych. Ujęli broń silnie w garść, zgarbili się, czatując na uciekające zwierzęta.

Za pierwszym strzałem odezwał się drugi, trzeci, czwarty, piąty, i rozbrzmiał bór łoskotem i wrzawą.

Mieczysław zmierzzył się do lisa, który sadził na przelaz z wyciągniętą kitą. W chwili, kiedy chciał pociągnąć za cyngiel, zaszeleściło mu coś nad głową. Obejrzał się. To Jastrzębiec strzelił tak nieuważnie, że śrót prześwisnął tuż obok niego.

— Panie sąsiedzie, celuj lepiej — zawołał głośno — bo gdybyś się pan jeszcze raz omylił, musiałbym panu palnąć w nogi, abys się nauczył oszczędzać cudzej głowy.

Zajęcie wyrwały się teraz zpomiędzy choinek, pędząc naoslep ku drodze. Spłoszone strzałami, spieszyły na bok, nawracane przez naganiaczy, kładły po sobie uszy i ruszały prosto na myśliwych.

Huk odzywał się raz po razie, szybko, czasami posypał się rżęście z kilkunastu dubeltówek, polowanie było w biegu.

Po raz wtóry przemknęła zwierzyna środkiem między Mieczysławem i Jastrzębcem. Zmierzyli się do niej obydwa, strzelili. Zając skoczył w górę, przewróciwszy koziołka, ale równocześnie schwycił się Mieczysław za ramię. Jastrzębiec trafił w niego, zamiast w szaraka.

Więc złożył się i wypalił mu z drugiej lufy w nogi.

Postrzelony wrzasnął, zrobiło się zbiegowisko, otoczono go.

— Co się panu stało? — pytał pan Rogowski, który przygalepował na koniu.

— Pan Ringhofen strzelił do mnie — mówił Jastrzębiec, trzymając się za tydki.

— Zrobiłem to samo, co pan Jastrzębiec — odparł Mieczysław i opowiedział całe zajście.

Myśliwi nie wiedzieli, co począć z tym fantem. Bezradni spoglądali na siebie. Jedyny hrabia roześmiał się głośno i wyrzekł:

— Doskonale pan zrobiłeś, panie Ringhofen. Daleś mu dobrą nauczkę. Kto nie umie strzelać, nie powinien jeździć na polowania. Zygmunt pokaleczył już kilka osób, między którymi znajduję się i moja godność, aż trafił przecież raz na odważnego. Będzie odtąd ostrożniejszym. Dziękuję panu w imieniu wszystkich pokrzywdzonych na ciele przez pana Jastrzębca. Jestem Alfred Komorowski.

I uchylił czapki przed Mieczysławem. Słowa hrabiego dodały bojaźliwym otuchy i przechylili zdania wahających się na stronę Mieczysława.

— Naturalnie, cóż innego miał pan Ringhofen zrobić? Bronił tylko własnej skóry — odzywano się.

— Nie tam panu nie będzie — zawyrokował pan Rogowski, obejrzawszy buty rannego. — Dwa śróty drasnęły łydkę: wielka mi rzecz! Obwinie pan nogę mokrym szmatem i basta. Hej, Jędre! — krzyknął na jednego z naganiaczy. — Skocz-no do dworu i przynieś w dzbanku wody. Duchem!

Jędre ruszył z miejsca galopem, a pan Rogowski wydobył z torby flaszkę z wódką.

— Może się napijemy, bo mróz szczypie po głbie — wyrzekł. — W ręce twoje, panie Mieczysławie, dzielny z ciebie myśliwy. Ho, ho, grubą upolowałeś zwierzynę.

Głośny śmiech strzelców zawtórował tym słowom.

Rozgrzawszy się piółunówką, podjęli myśliwi nanowemu przerwane na chwilę polowanie. Słońce zachodziło już za lasem, kiedy skończyli „robotę“.

Mieczysław nie opuścił stanowiska, choć go ramię paliło. Biegał cały dzień po polach, strzelał razem ze wszystkimi, nie dając po sobie poznać, że mu rana dolega. Dopiero, gdy myśliwi wsiedli na wozy, zdążając do dworu, wymknął się niespostrzeżony z gromady i wstąpił do karczmy, aby zaopatrzyć chorą rękę. Ponieważ kilka śróków przeszło tylko ciało powyżej łokcia, nie dotknawszy kości, przeto wymyślił bólać miejsce octem, obwiązał je mokrym płatem i podążył za resztą towarzystwa.

Gwarno i wesoło było w niskim domku rogowskim. Liczbę gości powiększyły żony i córki ki nemrodów, które przybyły pod wieczór na obiad.

Mieczysław zastał już biesiadników w dobrych humorach. Głodni i spragnieni, jedli i pili szybko, nie zauważywszy nawet jego nieobecności. Jedyne gospodarz szukał go oczami i pamiętał o nim.

— Gdzieś to bywał, sąsiedzie? — huknął na wchodzącego. — Myślałem, żeś drapnął, albo co. Nie tłómacz się, nie potrzeba, palnij sobie wódki i siadaj!

A nachyliwszy się do ucha Mieczysława, dodał szeptem:

— Zostawiłem ci miejsce obok panny Złotnickiej. Czyś kontent?

— Dlaczego mam być kontent? — zapytał Mieczysław.

— Proszę, gotów się wypierać.

— Czego?

— Nie udawaj, sąsiedzie, nie udawaj. Wiemy, co się święci. Chodźmy!

Pan Rogowski wziął Mieczysława pod rękę i zaprowadził go do próżnego krzesła, znajdującego się między panną Złotnicką i jakąś niemłoda jejmością.

Lekki rumieniec wypłynął na czoło dziewczyny, kiedy Ringhofen obok niej usiadł.

— Czy można powinszować? — odezwała się.

— Szczęścia w zabijaniu biednych szaraków?

— Ma to być wielka przyjemność, jak słyszę od panów.

— Polowanie przypomina bitwę, i dlatego lubi je płeć brzydka a okrutna.

Zamieniwszy z sobą tych kilka frazesów, zamilkli. On zaspakał żołądek, który dopominał się natarczywie materiału do przetwarzania; ona rozglądała się po towarzystwie, rzucając od czasu do czasu na Mieczysława spojrzenie przelotne.

Siedzący naprzeciw niej Jastrzębiec śledził ruchy jej z szyderskim uśmiechem na ustach.

— Budzę panią — wyrzekł.

— Ani śpię, ani śnię — odparła.

— Zdawało mi się, że pani marzy.

— Chybaś, panie Zygmuncie, jak zawsze. Myślałam tylko o tem, co bym zrobiła, gdybym była postrzeloną.

Jastrzębiec przygryzł wargi i spuścił oczy na talerz.

— Szatanek! — mruknął.

A stół zatrząsł się głośnym śmiechem.

— Dostałeś drugi nabój, panie Zygmuncie — wołał pan Rogowski — nie masz dziś szczęścia. Panowie, wypijmy zdrowie naszego nowego współobywatela, pana Mieczysława Ringhofena. Bawiliśmy się krótki czas między nami, a przypałał nam już tak do serca, jak gdyby się tu urodził. Niech żyje pan Ringhofen!

— Niech żyje! — zawtórowano ochoczo.

— Zuch z niego, zuch, niema co mówić — odezwał się jakiś gruby szlachcic z czerwoną od wypitego wina twarzą — ani się chce wierzyć, że z Niemców pochodzi.

Brwi Mieczysława zsunęły się i głęboka bruzda ukazała się powyżej jego nosa. Podniósł się z krzesła i mówił:

— Panowie, zanim podziękuję za toast, który mi zaszczyt przynosi, pozwól sobie zwrócić uwagę waszą na jedną drobną, ale przykrą niewłaściwość. Nie poraż pierwszy to spotyka mnie w tym kraju obelżywa nazwa Niemca.

— Ale daj pokój, daj pokój — wtrącił pan Rogowski.

— Panowie nie czujecie prawdopodobnie, jak ciężko raniacie serce moje tem nieopatrzne słowem. Gdybym chciał być Niemcem, zostałbym w rodzinnej Styrii, lub zamieszkał w Wiedniu, a nie przyjeżdżałbym do waszego ubogiego kraju. Szczególna rzecz, że dopóki Polska była państwem niezależnym, dopóty odznaczała się tolerancją i wspaniałomyślnością, a od chwili kiedy potrzebuje sama współczucia i pobłażliwości, dokucza nieufnością nawet tym, którzy do niej z gorącem przybywają sercem. Czy panowie nie rozumiecie, że mnie, synowi wyższego oficera, byłoby daleko wygodniej zostać członkiem narodu, który posiada środki do wynagradzania swoich zasłużonych? Otworem stoją przedemną w Austrii: karyera, zaszczyty, order i tytuły, a przecież rzuciłem wszystko dla niewdzięcznej pracy na ziemi matki mojej. Bo jakże zapłata czeka mnie tu za trud całego życia? Jeśli więc wybrałem z własnej woli narodowość słabszą, mogąc być obywatelem wielkiego, potężnego państwa, to chyba nie na to, abym był uważany za intruza wśród tych, których dołą niewesołą postanowiłem dzielić. Panowie, trzeba bardzo kochać ten kraj, trzeba miłość do niego posiadać we krwi, aby się z nim poczuwać do wspólności w jego dzisiejszych warunkach.

Szlachcic, który spowodował ten wybuch żalu, stał bezradny, nie wiedząc, co z sobą począć.

— Ale ja nie chciałem, nie miałem zamiaru — bąkał.

— A jednak dotknąłeś mnie pan do żywego.

— W takim razie przepraszam pana.

— Dajcie sobie buzi z dubeltówki i na tem basta — zawołał pan Rogowski. — Niema się o co gniewać. Hej wina więcej! Wojtek, ruszaj się!

Szybko nastąpiła zgoda i rozmowa przeszła na inny przedmiot, dzięki gospodarzowi, który ją zρέcznie odwrócił. Ale pocałunek nie wydobył z serca Mieczysława żądla. Nie opierał się wprawdzie, kiedy go gruby szlachcic obejmował, lecz usiadłszy, pochylił głowę nad stołem i milczał.

— Nie powinienes pan zważać na takie drobnostki — odezwał się obok niego cichy, nieśmiały głos dziewczęcy.

Mieczysław spojrzał na swoją sąsiadkę. Z twarzyczki jej znikł zwykły uśmiech złośliwy, a z dużych szafirowych oczu wyzierało współczucie.

— Pani nie uwierzy, jak mnie nierozum tych ludzi boli. Zdawałoby się, że mi łaskę wyświadczają, przyjmując mnie do swego grona.

— O, jacy oni niedobrzy...

Mieczysław ujął rękę panny Złotnickiej i wyrzekł drżącym głosem:

— Dziękuję pani.

Ona nie wysunęła swej rączki z jego dłoni.

— Nie dobruś, ale nie wszyscy — mówił Mieczysław — a jedno ciepłe słowo znosi tysiące obelżywych i godzi z głupstwem nierozważnych.

Spojrzeni na siebie — przelotnie — zaledwo sekundę, i powiedzieli sobie dużo.

VI.

Było nazajutrz jeszcze ciemno na dworze, kiedy się Mieczysław przebudził i, ubrawszy się, wyszedł do gospodarstwa.

Wstawał on codziennie przed świtem, obchodził dziedziniec, zaglądał do stajen, obór i owczarni, badał sprzęty i maszyny i siadał dopiero wtedy do śniadania, gdy się przekonał, że pracy nie powstrzyma żadna przeszkoda.

Przy herbacie wydawał Marcinkowskiemu rozporządzenia na dobę bieżącą lub słuchał jego raportu.

Właśnie zabierał się, po odbyciu zwykłej konferencji z rządcą, do odczytania świeżych gazet, kiedy przed dwór zajechała uboga bryczczyna, zaprzężona w dwa chude szkapska.

Mieczysław zbliżył się okna.

— Szulc? Czego on może chcieć o tak wczesnej porze? — pomyślał i wybiegł przed dom, aby podać rękę staremu, który wydobywał się z trudem z dziurawego wehikułu.

— Witam, witam — mówił — nie sądziłem, aby pan dobrodziej umiał być tak rannym ptaszkiem.

— Sypiałem ja kiedyś, niby susel, ale na starość to człowieka i sen odbiega — odpowiedział pan Szulc. — Oczy nie dowidzą, uszy nie dosłyszają, żołądek nie raduje się już bigosowi: ot, zwyczajnie, psuje się maszynisko — i tyle. Jak się masz, mój chłopcze? Może masz gdzie pod ręką co do rozgrzywki. Dawaj, bo mi mróz zalepił głowę, a przyjechałem do ciebie na gadanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

CZYTANIE RODZINNE.

Książki dla dzieci i młodzieży.

(Dokończenie).

Autor *Króla Kraka i królowny Wandy* dał w tym roku młodym czytelnikom książkę, która zostawiając poza sobą mglistą epokę legend, wstępuje już na grunt historyczny. Jest to schyłek X wieku, rok 970: Mieczysław I-szy już chrześcijanin i koronę królewską noszący, w Poznaniu z żoną Dąbrówką na stolicy siedzi i naród swój, Polanów, chrzci, na wiarę Chrystusową przeprowadza, zakładając fundamenta państwa, którego potęgą już zarysowywa się na horyzoncie dziejowym kształtem stałym. Potomek jego, Bolesław Chrobry, będzie w Sali i Łbie słupy graniczne bić, ale on musi jeszcze mocować się z namiętnościami wewnątrz grającymi. Po puszczech i ziemiach dalekich jeszcze lud stare bogi swoje czci i kocha; odstąpić mu ich żal, bo blizkie, krewne mu są, z łona ojczystej natury występujące, przemawiają do niego językiem, który rozumie i odczuwa, więc niespokojny jest, rozdrażniony i posępny, że mu jego cichy, starym obyczajem ojców pędzony żywot zakłócono. Zima trzymała wszystko w twardych kleszczach swoich, ale wiosna wionęła techniem jak rzadko ciepłem, i stopniały śniegi, mają się liściem młodym puszcze lesiste, sznurzy żurawi powietrznymi szlakami płyną, ptactwo wodne leci wesoło na stawy i jeziora, ale na lud, mieszkający tutaj, pada trwoga, bo na błękit niebios wschodzi co wieczór straszna gwiazda, z długą miotłą promieni...

Będzie głód i mór — będzie wojna!

Tak... Niemiec: markgraf Wigman ruszy zpoza Odry, z ziemi podbitych już przez niego Winulów, od grodu ich Braniborza i uderzy na króla Mieszka, niby przyjaciel i sojusznik kmie-

ci, którzy czcili jeszcze bogi swe stare i kupili się koło świątyni Lelum-Polelum. Jeżeli bóg ten wygra i Mieczysława przemoże, wtedy z tronu go strąci, miasto Poznań spali, Polanów pod władzę cesarza Germanów podda.

Dzieje tej wyprawy Wigmana i odporu Mieczysława, któremu na pomoc pośpieszył naród bratni, Czechy—to przedmiot powieści, noszącej tytuł starego bóstwa Polanów: Lelum-Polelum. Rzecz zaczyna się od obrazu przedstawiającego gromadę ludzi: kupców niemieckich, zapuszczających się w puszcze, która już z tej strony Odry, już na ziemi Polanów rozciągała się przestrzenią swobodną daleko w głąb kraju. Objuczone konie wiozą tłumoki ogromne, wiozą je do Poznania, gdzie to najpierw królowi do zamku poniosą, a potem na rynku targ, jarmark z tego uczynią. Do kupców przyłączyło się dwóch zbrojnych; ci są to szpiegi Wigmana i razem posłły jego do kapłanów Lelum-Polelum i kmieci władzy królewskiej opornych, z wojewodą Waligórą na czele. Do tego chcą się oni wraz z kupcami dostać i wsiąć ziarno zdrady w grunt serc hardych—serc wiernych, które nie chcą od przeszłości się oderwać. Ale na drodze kupców czucha zasadzona na ich mienie chciwość; gromada zbójców napada ich, towar wieziony zabiera i wraz z nim ich samych wiedzie do grodziska Waligóry.

Niemieccy rycerze chętnie jadą z tą kupą, bo tam właśnie prowadziła ich droga. Zawijają z wojewodą przymierze, czynią zeń zdrając, który w uniesieniu namiętnem wiąże się z wrogiem przeciw Mieczysławowi, marząc, że go zwycięży, świątynię Chrystusową, którą w Poznaniu zbudował, zburzy i krzyż rozpościerający już swe ramiona po drogach i siołach chrześcijańskich, zetnie, na stosie ofiarnym wraz z czcicielami nowej wiary spali. Nazywa ją niemiecką i ztąd dziko jej nienawidzi, jak tego, co im od wrogów przychodzi i stary porządek wywraca.

Gdy się układy wysłańców markgraфа powiodą, gdy się ziarno niezgody w łono narodu Polanów wsieje, zaraz on w ziemię ich wkroczy, bo już lud zbrojny trzymał w pogotowiu i stał z nim w pobliżu granicy, na hasło szpiegów czekając. Wkroczy, napadnie niespodziewających się niczego i będzie siekł, palił, ludzi mordował, łupy brał i po grodkach i grodach załogi swoje osadzał. Król Mieszko dowie się o tem wtedy dopiero, gdy luna pożarów zaświeci mu w jego poznańskiej stolicy, gdy już kraj ubieżony trzeba będzie na zwycięzcach zdobywać, a czyż zdobyć go zdoła ze swemi łukami i strzałami, ze swoim ludem w skórzanych zbrojach?...

Ale nie... nie stanie się po woli zdradzieckich napastników. W niewoli u Waligóry była Czeszka, jedna ze służebnych panien królowej Dąbrówki, którą wojewoda pochwycił w jakimś napadzie na orszak królowej, nienawistnej mu, że chrześcijanka. Ta branka, Młoda, wysłuchiwała zdradzieckich podszeptów Niemca i uciekła skrycie, aby do Poznania do króla się dostać wpierw, zanim Niemcy mord i pożogę w kraj Polanów wniosą. Wzięła sobie skrycie trochę placków podplomyków, soli i ryby suszonej, wzięła ze stajni konia mierzynka i pod niebytność Waligóry uciekła.

Jechała na los szczęścia puszcę a dziką, Bogu się w opiekę oddając. Żywiła się jak mogła, gdy zapasy zabrane już spożyte zostały: jagody zbierała, ryby po strumieniach leśnych na wędkę łowiła i piekła je sobie w popiele. Jechała a spotykało ją strachów i niebezpieczeństw niemało, aż na szczęście znalazła na drodze swojej człowieka dobrego, pustelnika, który samotnie na łonie natury żył i który jej się za opiekuna obrał. On ją doprowadził do króla Mieczysława i zarazem przy boku jego sam stanął, bo to był dawny rycerz i wojownik mężny, a że wiele różnych rzeczy wiedział i lesistą krainę wśród której przebywał, jej wody, wzgórze, wąwozy, jak dom własny znał, więc królowi do brą radą służył i do zwycięstwa nad Niemcami wielce pomógł.

Była tu i pomoc inna jeszcze. Mieczysław posłał po nią do Bolesława Czeskiego i on to:

ów pustelnik Sambor, posłem królewskim do bratymców się zrobił, czeskiego wojewodę Spicimiera dość wczas z hufcami pancernej jazdy czeskiej królowi do obozu przywiódł. Wigman pobity na głowę, wobec przymiera dwóch krewnych sobie narodów Sławiańszczyzny Zachodniej bezsilny, z hańbą i wstydem do niewoli się dostał i gdy chciał czeskich wojowników do zdrady przeciw Polanom podmawiać, zginął od ciosu Sambora, który tę podłą jego sprawę odkrywszy, na rękę go za to wyzwał.

Cała ta powieść pełna fantazyj i nawet poezji, dobrze, zajmująco pisana, żywo interessować może młodzież czytającą, i tylko pierwszy jej rozdział, z niemiłym obrazem zbójckiego rabunku kupców niemieckich, mniej dobrze się przedstawia, zwłaszcza, że owi zbójce na przejezdnych kupców zaciągają się do pacholki wojewody Waligóry. Gdyby napadniętych z nienawiści ku Niemcom, gdyby walczyło z nimi, przez to uczucie i z chęci zatamowania im drogi do kraju—niewpuszczania ich do niego, byłaby to walka godziwie usprawiedliwiona, mężka walka w obronie drogiej sobie rzeczy. Choć Waligóra poganinem jest i w imię wierzeń swych i ukochań starych przeciw królowi, który chrześcijaninem został, rokosz podnosi, to jeszcze nie było potrzeby zbójce obyczajów mu dawać. Kochał przeszłość gorąco, więc uparcie, z zaciętością namiętą, ale zaciętość ta, będąc, jak tu, błędem, nie należała jeszcze do uczuć tego gatunku, które są niskie, które się nieuczciwami nazywają. Dla barwności, dla podniesienia kolorytu, autor to wtrącił i, jakkolwiek Sławianie Zachodni, jak to przyznawali im zawsze wszyscy dziejopisarze, okazywali zawsze łagodność i tę łatwowierność za wielką nawet, która tkwi zawsze w naturze ludzi z dobremi sercami, miał on przecież pewne prawo, aby epizod podobny w obrazie X wieku pomieścić. Ale Waligóra to reprezentant zapadającej w głąb czasów przeszłości i nawet ze względów estetycznych nie należało czynić go hersztem zbójce na wzór niemieckich Raubritterów. Ostatni obraz powieści—od gromu piorunowego wzniecony pożar świątyni, w której płomieniami ostatni kapłan opuszczonego przez lud bóstwa śmierć bierze, na całopalenie się wydając, jest dramatyczny i wspaniały. Uderzy też każdą wyobraźnię młodą, w której jest odrobinka poetyczności—uderzy i uskrzydli: przedstawi myśl, jak się to umiera dostojnie dla przekonań swoich.

Razem biorąc powieść *Lelum-Polelum* jest zajmującym i dobrem dla młodzieży czytaniem. Ryciny W. Luskiny rzecz podnoszą i książkę zdobią; papier i druk ładny. Wydanie Gebethnera i Wolffa.

W szkole życia, powieść dla młodzieży, przez Michalinę Grzymałę-Zielińską, to świat inny—świat dzisiejszy z tym twardym brukiem powszedniego życia pod nogami, na którym większość ludzi nietylko ciężko na chleb pracować musi, ale jeszcze tak się wśród świata obracać, aby tę pracę sobie znaleźć i możność jej stale sobie zapewnić. Przyjąć każdą, byle uczciwą, nie wstydzic się żadnej, najcięższą uważać jeszcze za dobrodziejstwo,—jeżeli tylko podnosi nad upokorzenie życia na koszcie innych—to nauka, którą autorka przedstawiła przed umysły młode w formie dobrego przykładu. Przykład ten jest pomyślanym i napisanym rozumnie i wszytko, co tam jest, odpowiada warunkom pedagogicznie dobrego czytania dla młodzieży. *Przegląd Pedagogiczny* przyznał autorce premium na zeszłorocznym konkursie na powieść dla młodego wieku przez redakcją rozpisany.

Treść ma dość ruchu i barwności, aby interes budzić. Dwoje dzieci: starszy już chłopiec i mała dziewczynka, znajdując się nagle w Warszawie, której nie znają i w której nikt ich nie zna, bez pieniędzy, bez niczyjej pomocy i rady, prócz własnego rozsądku, odwagi i siły woli, którą rozwija brat starszy, tkliwie przywiązany do siostry i opiekunem jej czyniący się mężnie. Ma wpojone w siebie zasady uczciwe i to jest busola jego jedyna, według której się kieruje i która doprowadza go też do portu. Książka jest też rzeczywiście szkołą życia, bo wypływa z niej

wielka życia nauka, że człowiek powinien przede wszystkim szukać oparcia sam w sobie, a zasada ta, wprowadzona w wychowanie, daje rosnącej istocie szacowny przymiot samodzielności, godności osobistej i dumy szlachetnej, co razem najskuteczniej podnosi nad wszelkie nędze i poniżenie życia.

Niech to ma w sobie każdy człowiek, a nie będą ciężać na społeczeństwie pasożyty i niedołęgi, nie będzie w ludzkości tylu cierpień i dziś płynących lez gorzkich. Toż to jest owa *pomoc własna*, o której angielski myśliciel Smiles cały gruby tom napisał; zebrał setki przykładów, aby wykazać, jak każdy człowiek—w każdym życiu położeniu, na każdym szczeblu drabiny społecznej potrzebuje jej, aby żyć dobrze i szczęśliwie i być podniesionym przez siłę własnego ducha, nad niestałość losów i kaprysu fortuny, której Starożytni na obrazach i posągach zawiązywali oczy, aby wykazać ludziom, że jest ślepa. Ale widzi jasno ta godność moralna, która nie pozwala się na nią spuszczać i każe przedewszystkiem człowiekowi szlachetnemu na siebie liczyć, w sobie punktu ciężkości dla życia swego szukać.

Ponieważ autorka przez uważny wzgląd pedagogiczny nie chciała, aby taka *pomoc własna* koncentrowała zanadto człowieka w samym sobie i czyniła go przez to egoistą, dla siebie tylko żyjącym i w sobie widzącym cel istnienia, więc biednemu chłopcu bez opieki i pomocy starszych, jak sierota na grę losów rzuconemu, daje siostrę młodszą i każe mu nie opuszczać jej i poświęcać się dla niej: samemu głód cierpieć, a ją nakarmić i zdjąć na to ze siebie suknię ciepłą, a jej nic nie ująć i nie żądać w zamian nic, prócz tego szczęścia, że jego serce nie jest puste, że ma co kochać.

Ta dobra książka wyszła nakładem księgarni Szyllera, i mieści cztery ryciny Pillatiego.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Listopadzie 1888 r.

Z wielkim niepokojem oczekiwaliśmy w tym roku wyniku wyborów do sejmu pruskiego. Przedłużenie do lat pięciu kadencji sejmowych dodawało wagi i doniosłości walce wyborczej, a jeszcze silniejszym był wzgląd inny: lękaliśmy się następstw kolonizacji i udowodnienia postępów zamierzonego etnograficznego przekształcenia. Tymczasem, dzięki czujności jednych a sumiennosci drugich,—pilnych strażu rozstawionych przez warstwy przewodnie,—samowiedzy ludu, żaden mandat nam nie ubył. Wyślemy tedy ponownie trzynastu posłów z Księstwa Poznańskiego, a dwóch z Prus Zachodnich, i koło polskie w jednokiej wystąpi sile. Mogłaby ona być jeszcze znaczniejszą, gdyby nie zręcznie przykrojone okręgi wyborcze, według przewagi niemieckiego żywiołu, któremu usiłowano jaknajszersze zapewnić zwycięstwo. Tu i owdzie powstawały wśród nas projekta kompromisów, to jest zgodzenie się na złe mniejsze dla uchronienia się od większego; polskie głosy miały przeważać szale na korzyść Wolnomyślnych, którzy, za przykładem cesarza Fryderyka, nie chcą praw wyjątkowych, ani gnębienia pojedynczych części państwa. Ogólna jednak opinia sprzeciwiała się użyciu tej broni obosiecznej w następstwach i niebezpiecznej, skoro trudno prostemu ludowi dość przekonująco wykazać, że wolnomyślny lepszym jest od narodowo-liberalnego. Jedyną różnicą, którą widzi, ocenia i czuje człowiek bez wykształcenia, jest różnica mowy i wiary, i to też jedno nadługo zapewnia nam pomyślność wyborów sejmowych, przynajmniej w danych warunkach możebną. Komitet centralny zasadniczo tedy oświadczył się przeciw wszelkim układom; znalazło się jednak w Poznaniu kilku par-

tyzantów, którzy, na własną rękę głosując, polskimi głosami przechylił szalę zwycięstwa na korzyść kandydata wolnomyślnego, byle tylko sprowadzić porażkę przeciwnemu stronnictwu, które w najwstrętniejszych mowach naprzód już głosiło swój niezawodny tryumf i nienawistne na naszym gruncie powtarzało hasła. To zerwanie solidarności i ustalonego obyczaju nie jest do pochwalenia; trudno atoli się nie cieszyć z osiągniętego skutku: boć, skoro nie było podobnem własnego przeprowadzić kandydata, prawdziwie to nam przyniosło zadowolenie, żeśmy się przyczynili do przegranej najgorszego i najbezpieczniejszego w pruskiej swej pysze żywiołu.

Przypomniano też świeżo statystykę dawniejszych naszych wyborów od czasu nadania konstytucji. Posłów do sejmiku pruskiego mieliśmy najwięcej w okresie prawodawczym 1863—65, bo aż do dwudziestu sześciu, najmniej w latach 1855—58, bo tylko trzech! Później liczba ich wciąż między 19 a 15 się chwieje. W ostatniej kadencji mieliśmy 15 posłów z obu prowincji, w przedostatniej 17. Niemcom przyjaznych warunków nie zmieniła się tedy siła liczebna naszej reprezentacji, atoli niepodobna się ludzi, iż głosów nam stanowczo ubyło. Nie sama kolonizacja na tym ubytku zaciężyła: gorzej się dało we znaki wychodźstwo więcej na zarobek do Niemiec, aniżeli po szczęście do Ameryki. Klęska to dla nas dziś najdotkliwsza, wywołująca z wsi naszych i miasteczek siły młodzieńcze i najlepszego robotnika. Prócz straty politycznej i etnograficznej idzie za tem i materalny uszczerbek. Brak robotnika coraz dotkliwiej czuć się tu daje. Po wydaleniu 28.000 obcych poddanych rząd pierwszy poznaje już dziś błąd wówczas popełniony i wpuszczając zaczyna nanowo do nadgranicznych powiatów przychodniów z Królestwa, szukających zarobku i zajęcia. A tymczasem brak rąk i spotęgowana przez rozwój przemysłu produkcja warzywa wystawia rolników na rokrocznie powtarzającą się klęskę zamarzania znacznej części niewydobytych na czas okopowizn. Nagły i silny mróz listopadowy zastał w Poznaniu jeszcze całe łany niewybranych kartofli, nietkniętych buraków cukrowych lub marchwi pastewnej. Łatwo sobie wyobrazić: jakie ztąd dla właściciela wynikną straty, mnożąc ruiny, które nie sama lekomyślność tylko powoduje.

Okres wyborów w pięknie światła wystawiać zwykły postępy oświaty i samowiedzy wśród ludu naszego. Sumiennosc w sprostaniu tej powinności publicznej wywołuje nieraz najpiękniejsze przykłady. Chorzy dźwigają się z łoża niemocy, słudzy wystawiają się na gniew obcego chlebodawcy, byle nie uchybić obowiązkom dobrze zrozumianemu. Pewność, iż w obecnej kadencji sejmowej sprawy szkolne przyjdą pod obrady ciał prawodawczych, dodała bodźca żarliwości wyborczej wśród ludu naszego, niezmiernie czułego na wadliwość krzyczącą obecnego szkolnictwa. Wbrew dawnej opieszałości, niedbalej o żadną naukę, rozbudziła się obecnie wśród naszych włościannadzwyczajna troskliwość o wychowanie dźwiaty swojej. Przekonawszy się dowodnie, iż szkoła w obecnym ustroju żadnej im zgola nie przynosi korzyści, przykładają się z podziwieniem godną wytrwałością i gorliwością do domowego dziełka kształcenia. Nierzadko przy niedzieli zastać ojca gospodarza, pilnie zajętego udzielaniem lekcji polskiego czytania i pisania dorastającym bez żadnej nauki synom. Metoda Lankastra nigdy też świetniejszego nie znalazła zastosowania: dzieci nawzajem się uczą i prześcigają w postępkach, a co wam się może zabawnem wydać, zamożniejsi włościannie tu i owdzie odczuli potrzebę nauczycielek domowych do dzieci swoich. I tak np. niedawno jedno z naszych czasopism polecało miłośniernym sercom los ubogiej a osierociałej rodziny. Chodziło o umieszczenie kilku sierot po uczciwych domach na prowincji. Odrzuć przeszło sześćdziesiąt znalazło się odpowiedzi i propozycji. Najciekawsze pochodziły od wiejskich gospodarzy, którzy zdali przyjechali po sieroty, obiecując im porządne utrzymanie i wynagrodzenie, byle się podjęty dzieci ich pisać i czytać nauczyć. „Bo to widzi-

cie, my przy robocie dzień cały, czasu na to nie mamy, a dzieci tymczasem nam dziczeją, i ani modlitwy z książki do nabożeństwa nie potrafią wyczytać.“ Zapadł tedy układ ku wzajemnemu zadowoleniu i poznańskie sierotki bakałarzują w wiejskich chatkach, wywdzięczając się swoim chlebobawcom.

Z nadejściem zimowych wieczorów wzmagają się potrzeba książek dla ludu. Towarzystwo Czytelników Ludowych, jak może, krząta się około zaspokojenia tego duchowego głodu. I znów w pierwszym półroczu założyło 93 nowych czytelni, rozpowszechniło 20 000 książek, a zebrało 5.000 marek, co na obecne stosunki wcale pokazań stanowi sumę. Pomyślnym też dowodem uznania wartości tej instytucji jest fakt dwukrotnych ważniejszych zapisów testamentowych na rzecz związku czytelni. Prasa peryodyczna usiłuje ze swojej strony dogodzić potrzebom coraz liczniejszych czytelników. Prym zawsze trzyma wybornie redagowany a rozpowszechniony *Przyjaciel ludu*. Liczący zaś najwięcej prenumeratorów *Wielkopoleń* nie może się otrzaskać z pewnej jałowości treści, którą słusznie na niedbalstwo lub nieumiejętnosc redakcji zrzucić wypada.

Boleśnie nas tu dotknęło postanowienie rady nadzorczej Teatru Polskiego w Poznaniu. Znajdując się w uciążliwych materalnych kłopotach, rada opiekująca się sceną polską wydzierżawiła ją na cztery wieczory tygodniowo przez pięć zimowych miesięcy jednemu z teatrzykowych przedsiębiorców berlińskich. Dyrektor Winter, kierujący w ciągu lata ogrodowemi przedstawieniami w zakładach Krolla, zawarł powyższy układ, składając odpowiednią kwotę, która zachwiane finanse sceny poznańskiej chwilowo podźwignie. Sprawa ta wywołała przykre zdziwienie, a zarazem i dość żywe oburzenie wśród całej naszej publiczności. Prawda, iż trudnem bywa utrzymanie teatru bez rządowej subwencji, prawda, iż w Poznaniu niezawsze liczyć można na wypełnienie miejsc przy każdym przedstawieniu, że warunki bytu same z siebie odrazu bardzo były wątpliwe, ciężkie i niepomysłne: ale kiedy się już sprawie nadało ogólną doniosłość, kiedy cały kraj złożył w ofierze poważną, niemal milionową kwotę, a sam teatr wyniesiono do znaczenia świątyni ducha i przybytku mowy ojczyzny, — wypadało już lepiej się rzadzić i zabezpieczyć przyszłość przed obecną frymarką, która niby wstrzymuje lub odracza bankructwo materalne, stokroć dotkliwszem bankructwem idei. Patrząc na pomyślny finansowy rozwój innych naszych instytucji, mimowoli doznajemy obawy: czy rada nadzorcza teatru poznańskiego nie weszła przypadkiem na tory złej gospodarki, i czy nie w niej tkwi przyczyna długów, z których się dziś wstrętnymi spekulacjami wydobywać potrzeba? A tymczasem licha niemiecka operetka rozbrzmiewa już w ślicznej sali, w której miały się rozlegać rodzinne tylko dźwięki.

Sąsiednie gmachy Towarzystwa Przyjaciół Nauk poważny noszą kordyś na podobne zgryzoty. Tu przynajmniej ład i zabiegliwość nie zna upadku: owszem, ubezpiecza przyszłość ciągłym rozrostem. Wydział przyrodniczy święcił temi dniami trzydziestoletnią rocznicę swego założenia i przygodnym dzień ten obchodził od czytelnym, przypominającym dokonane w tym okresie dzieła. Główny dziś wydział ożywił i przewodniczący Dr Franciszek Chłapowski, skreślił pobieżną historią sekcji przyrodników. Rozpoczęła się już seryja zimowych posiedzeń i odczytów; najbliższy ma nas zapoznać z pedagogiczną i naukową działalnością ks. Adama Czarotorskiego, na podstawie najnowszych wydawnictw o nim samym i jego rezydencji puławskiej.

Wspaniałość istniejących w naszym muzeum zbiorów nie daje spać niemieckiemu towarzystwu historycznemu. W ostatnim liście opisywałem wam nieudaną wystawę i lichy kongres uczonych germańskich, którym anti-słowiańska manifestacja na naszym gruncie nie świetnie się powiodła. Wśród najjadliwszych syków, jakie się wówczas odzywały przeciw piastowskiemu plemieniu i cywilizacji, prym trzymał tutejszy pomocnik archiwalny, p. Ehrenberg. Poluje on ustawicznie na broń przeciw szlachcie naszej i duchowieństwu

w niezgermanizowanej przeszłości, którą w najciemniejszych barwach zupełnego barbarzyństwa stale przedstawiać usiłuje. Nabywawszy na akta procesu przeciw czarownicy w Ziemi Wschowskiej 1638 r., w który to proces do dwudziestu osób było wplątanych, p. Ehrenberg z rozkoszą wystąpił *gegen den Adel und die Pfaffen* w rozprawie zatytułowanej: *Ein Hexenprocess in Polen 1638*. Podnosząc atoli dowody ciemnoty i barbarzyństwa w Polsce, zapomina, iż w tym kierunku przykład szedł z sąsiednich Niemiec, o czem nas dowodnie przekonywa świeżo wydana w Moguncji książka uczonego Diefenbacha, p. t. *Der Hexenwahn in Deutschland*. Protestanci pisarze lubują się w opisach Inkwizycji, w oskarżaniu hiszpańskiego fanatyzmu, a dotychczas milczeli o tysiącach ofiar, które na stosach ginęły w Niemczech, skutkiem dziwacznej obłądki, domniemywającego się wszędzie czarów i czarownic. Wszyscy dziś znają groźne nazwisko Torquemady. A któż kiedykolwiek zasłyszał o protestancie Carprowie, który sam jeden skazał na śmierć do 20.000 ludzi, a między nimi większa część była obwinionych o czary? Najbardziej tu zawiniła niemiecka literatura z XVI wieku, która, idąc śladem swego mistrza Lutra, wszędzie wietrzyła czary i dyablice „szkaradne dyabelskie córy, które mleko kradną, wichry wzniesają, na miotłach jeżdżą, kaleczą ludzi, męczą dzieci.“ Reformacja bynajmniej nie znaczy postępu w oświecie; owszem *Hexenwahn* rzadka tylko się pojawia w krajach katolickich, podczas gdy w protestanckich trwa z małemi przerwami przez 150 lat. Faktem też znaczącym jest zlokalizowanie się takich krwawych egzekucji na pograniczach niemieckich, co pobija p. Ehrenberga własną jego bronią. Najwięcej u nas czarownic spalono w Wielkopolsce, skutkiem sąsiedowania z Niemcami, gdzie długo tysiące stosów gorzało. Wszakże ostatnia tego rodzaju egzekucja odbyła się w Szwajcarii nie dawniej, niż w 1782 r., kiedy już w Polsce znikły były ostatnie ślady zabobonu i wiary w złowrogi wpływ i istnienie czarownic. Przeciw processowi wschowskiemu, który służy p. Ehrenbergowi za taran przeciw polskiej przeszłości, wartoby postawić krocie podobnych spraw przez Diefenbacha przytoczonych, i to z późniejszej nieraz epoki. Z naszej zaś strony nie trudno o dowody stałej działalności światlejszego duchowieństwa, przodującego w systematycznym wytępieniu z dusz lańnych zabobonów i opartego na nich wstrętnego sądownictwa, które raczej doraźnym szaleńcem ludowym niekiedy bywało przeprowadzane. Prasa nasza dała też p. Ehrenbergowi stosowną odpawę, nie przeszkodzi mu to jednak z najbliższej skorzystać sposobności i ponownie głosić światu polskie barbarzyństwo.

Dziennik Poznański obecnie darzy swych czytelników rzadkiem bogactwem odcinków. Prócz opowiadania Sienkiewicza: *Ta trzecia* otrzymujemy w dalszym ciągu wcale zajmujące *Przechadzki po mieście*, których już część I-sza w osobnej ukazała się odbitce. Luźne pogadanki o domach i ulicach naszej przemysłowej stolicy urosły w pamiętnik obejmujący półwiekowe wizerunki i wspomnienia. Autor wywołuje z opustoszałych lub przekształconych domów cienie dawnych ich mieszkańców, nawiązuje wypadki z miejscowościami, sięga do tej najbliższej przeszłości, którą zwykle najmniej się zna i bada, a czasem najłatwiej zapomina. Dla badacza historii naszej źlelnicy niniejsza książeczka szacowną okaże się kopalnią trafnych uwag, wiernych opisów i opowiadań, nieomylnych wiadomości z właściwym podanych wdziękiem. Oczywiście, trochę to lokalne wspomnienia, miłe i swojskie dla bliższych, a niemogące budzić żywszego w dalszych interesu; każdy jednak oceni przeświecającą w każdym słowie szlachetność, oraz powagę znanego zaszczytnie w literaturze naszej pióra.

Nowy Rok zapewne przyniesie nam niejaki zmiany w ustroju naszej prasy. Już słyhać o powstającym piśmie lekarskiem, które mogłoby ważną zająć stanowisko, zważywszy na liczbę uchlubionych medyków, którymi słusznie się chlubił. *Kurier Poznański* ma przejść w inne ręce i uleść pewnemu przekształceniu, nie zmie-

nając atoli kierunku i barwy. Z radością powitaliśmy wznowienie firmy nieodżałowanego Żupańskiego, którego księgarnia przejął Dr Celichowski, bibliotekarz kórnicki, przenosząc ją do pałacu hr. Zamoyskiego w rynku. Szczęść Boże starej firmie i młodej pracy!

ZE SPUŚCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

VII.

Z dawniejszych dni wesela, ufności i słonecznych blasków daje nam „Cała Lira” w V-tej swej księdze kilka tylko wspomnień i urywków, ciekawych dla porównania z odpowiednimi ustępami z poprzednich, współczesnych owym dniom cyklów, ale bezpośrednio niecharakterystycznych należycie oblicza poety, które w tych punktach, z braku odpowiedniego oświetlenia, zatracają się i rozplywają przed oczami naszymi w gęstym cieniu niewiadomości. Pomiędzy nie licznymi fragmentami, dotyczącymi owej dawniejszej epoki jeden szczególnie jędrnością i barwnością swą zwraca naszą uwagę. Poeta opowiada w nim gronku słuchających go dzieci o heroicznych, świetnych dla Francji, grzmiących echemi bitew i zwycięstw napoleońskich czasach, w których upływały pierwsze, dziecięce lata jego życia.¹⁾

Obrazek ten, oraz dwa inne ustępy, z których pierwszy jest jeszcze jedną reminiscencją tak pamiętnego znawcy dzieł W. Hugo „Klasztoru Bernardynek.”²⁾ drugi zaś—będący jakby kartką wyrwaną z „Liści jesiennych”—maluje zachwyt poety na widok cichego szczęścia rodzinnego w gronie dzieci ukochanych, jakiem cieszy się jego przyjaciel,³⁾—wstawione są w księgę tę, jakby umyślnie dla kontrastu, aby ciemniejsze, jeśli nie ponure, to przynajmniej elegijne, tony pozostałych utworów tem lepiej odbijały. Po tych paru słoneczniejszych wspomnieniach mamy dalej już tylko mroki i cienie. Poeta idzie na długie, długie wygnanie, a ból, jaki mu sprawia widok kierzającej się przed awanturnikiem Francji, oraz smutek, spowodowany nagłym rozstaniem się z krajem, przyjaciółmi i sercu drogiemi osobami,—wprawiają go w posępny, gorzki nastrój, każący mu wątpić o sobie, o szczęściu swoim, lecz nigdy o zadaniach i obowiązkach swych. „Miewałem ja gorzkie chwile”—opowiada w przesadnym nieco, lecz wybornie odzwierciedlającym chmurę ówczesny widnokrąg jego myśli ustępie—„wygnaniec, w smutku błądziłem z miejsc na miejsca, rzucając pełne zazdrości spojrzenia na tajemnicze, ciche mogiły. Odbywałem piechotę długie podróże, uchodziłem nocą, z obawą przysłuchiwałem się oddalonemu głosom, pełniejszym niepewności i wątplenia od zwierza dzikiego wśród puszczy. O, zwyciężeni w wojnach domowych, biada wam! wszystko dla was zamknięte. Przechodziłem wieczorami przez miasta, tak, jak przechodzi się przez pustynię. Sam, w oddaleniu od przyjaciół, liczyłem skromny swój zarobek i patrzyłem wśród zmroku na ustawiczny

ruch przechodniów. W kałużach drożnych błocilem swe obuwie, znużony padałem na stare ławki, przyglądałem się przez okna wesołości dokoła płonących ognisk. Słyszałem z chatek śmiechy wieśniaków siedzących przy wieczerzy. Jak Tulliusz, uciekający z Rzymu, siedłem, nie wiedząc, gdzie jestem; wymieniam tych, którzy mnie gościnnie przyjęli, przemilczam tych, co mnie odepchnęli. Wichry szalały mi nad głową; uciekałem, sam nie wiedząc jak, owinięty w ciemny płaszcz burzy. Uciekałem—w walce z tym mrokiem, w którym wszyscy toniemy, z falą i z wiatrem, z niebem i z ludźmi; w zgodzie z mem sercem pogodnem: Dusza moja otwierała przeżarte oczy; w koło było czarno, zginął bez śladu lazur nieba gwiazdzisty; lecz ja wśród tych ciemności dostrzegałem w oddaleniu łagodną jasność Boga. Mówiłem do siebie pośród boleści: „Płakać jest dobrze, cierpieć jest pięknie.”⁴⁾

Śród ciężkich tych okoliczności, które mogłyby zgniebić indywidualność słabszą, duch poety rośnie, potężnieje; chłosta losu zdwaja—zdawałoby się—potęgę orlich jego skrzydeł; chwilowe zwycięstwo zła i niesprawiedliwości podnieca tylko jego wytrwałość w ciężkiej wędrówce, jaką śladem wiodących go promiennych postaci Prawdy i Sumienia odbywa na stromym i posępnym zdołu sprawiający wrażenie, bo w chmurach ukryty, szczyt ideału.⁵⁾ „Pracuje” więc,⁶⁾ daje się porwać pracy, „tej rzeczy niezbadanej, złożonej z zawrotu głowy, ze świadomego wysiłku, z jarzma i z wolnej woli, która przychodzi, gdy ją przyzywamy, oblewa nas nagłą jasnością, roznieca w nas wszystkie szlachetne porywy i, posłuszna, zapala pełną, wiejącą skrzydłami, usuwającą ból, jakoby sterczące na drodze gałęzie, unosi nas, przez nieskończoność, daleko od zła, daleko od ziemi, daleko od nieszczęść, daleko od występków, jak orzeł, którego śród ciemności mamy na swe usługi.”⁷⁾ Cierpiąc sam, myśli jednak ciągle o szczęściu kraju swego i Ludzkości, zagląda więc do wszystkich przepaści nędzy, bólu, zwątpienia i nad wszystkimi stara się wznosić jasne latarnie, jako ostrzegające dla następnych przechodniów znaki, jako drogowskazy, przy pomocy których człowiek może łatwiej uniknąć otchłani i odnaleźć szlak wiodący do ideału. Z wygnania, z wysepki skalistej śród fal oceanowych, rozbrzmiewają na świat cały najpotężniejsze słowa tego olbrzyma; z tamtąd chłoszcze złe, podłość, hypokryzję, nędzę moralną; z tamtąd biją blaski najpiękniejszych rozświecanych przezeń słońce prawdy, piękna, dobra, wolności, miłości; z tamtąd biorą początek takie dzieła, jak „Kary,” jak „Kontemplacje,” jak „Legenda wieków,” jak „Nędznicy,” jak „William Shakespeare;” z tamtąd poeta przysłuchuje się bacznie wszystkim głosom, dochodzącym go z kraju i ze świata, i, gdzie tylko trzeba stanąć w obronie zgody, sprawiedliwości i wszystkich najwyższych ideałów, wszędzie z zapalem śle wieszczę swe słowo. „Tylko przeklętym milczeć przystało,” więc głos jego nie umilkł. Oto zwracając się „do dziecka,”⁸⁾ nawołuje wszystkich czujnymi słowy do oddania należnej czci i hołdu kobiecie, a zwłaszcza kobiecie-macie.

Oto w innym miejscu rzewnemi, a razem potężnymi słowy nawołuje do zgody dwóch poróżnionych przyjaciół i rzuca piękną myśl, że przyczyną waśni bywa najczęściej nieporozumienie. „Pozwólcie, niechaj ja tylko mam do czynienia z posępną nienawiścią. To mój los. Zanim jeszcze czoło me pochyliło się ku ziemi, za młodych lat już rozpocząłem, niestety, czarne te zapasy. Jakób pasował się z aniołem, ja pasuję się z ciemnością. Ach, wezmę chętnie na siebie wszystkie nieszczęścia niezliczone, wszystkie boleści bez miary, niechaj ja jeden cierpię, byle wszystko się weseliło! Niechaj więc zgoda wasza rozraduje

me serce, pełne smutku pożegnań, rozbite przez losy...”⁹⁾

Niez mordowany jest w tych ciągłych pracach, a myśląc o szczęściu innych, zapomina o sobie i o ciężkim swym losie. Czasem tylko w znękanu ostatecznem skarga bolesna z ust mu się wyrwie: „Oh, wygnanie jest smutne: mija zwolna, poważne i posępne, wlokąc za sobą żalobę bez końca w przestrzeni bez granic, a na twardej drodze, która prowadzi ku ciemności wiekui- stej, widać nieustannie krew spływającą kroplami z korzonków serca, które wiszą wyrwane.”¹⁰⁾ Czasem westchnienie żałosne pierś mu podniesie, czasem smutek głębiej, niż zwykle, czoło mu zbrudzi, ale on kryje się z tem przed ludźmi, nie chcąc innym boleścią swą wesela zamącać. Chyba przed małą użali się dzieciną, która jeszcze słów jego nie pojmie i tylko słodczy głos jego odczuje.¹¹⁾

Po długich, długich latach wraca poeta z wygnania, wraca, aby z tem większym zapalem i gorliwością wziąć się do pracy, bo on „nie zatrzymuje się nigdy i nigdy nie odpoczywa; gdy fala, jego towarzysz, zadrgawszy, wstrzyma się w miejscu, on woła do wiatru: Pędź mię naprzód! gdy wiatr zmieni kierunek, on mówi do fali: Nieś mnie dalej!—i ciągnie mknąć naprzód i naprzód, i coraz gwałtowniejszy uragan go porywa...”¹²⁾ Wziął za swój obowiązek i cel swego życia pracę do dobra innych, dla szczęścia kraju i całej Ludzkości, pracuje więc bez wytchnienia; ale czasem coś jak cień westchnienia świadczy o węglebokiem znękanu. „Człowieku, kochaj swe ukochane przedmioty”—kończy poeta tylkoko przytoczony urywek—„siadaj codzień ze spokojem na kamiennej ławce u wrót swego domu—nie niechaj tak dni sobie płynąć! Szczęśliwy ten, kto żyje sobie bez myśli w swym domku i widzi co wieczór tegosamego ptaka nocnego, wylatującego o tejże godzinie zpod tegosamego gżemsu domowstwa!”¹³⁾ Znękania tego parę specjalnych znajdujemy powodów. Wróciwszy z wygnania poeta—przedewszystkiem—nie znalazł wielu drogich sercu osób. Z niewypowiedzianym też smutkiem woła, odwiedzając wyspę Jersey w r. 1872, we dwadzieścia lat po pierwszym na niej wylądowaniu: „Tesame co przed laty dwudziestu, wały obrzucają wyspę białą pianą, podobnie jak koń opienia swe wędzidło; tensam lazur nad wyspą; tasama mgła na niej. A jednak iluż-to drogich moich żyło wówczas, a dziś w grobie leży!”¹⁴⁾ Groby te ciągną, nęcą poetę: porzuca hu- czne biesiady i wesołe zebrania, aby w ciszy na nich podumać. Niekiedy wydaje mu się, że ci zmarli zabrali z sobą część jego istoty, że jakiś głaz grobowy przywarł skraj jego sukni i puścić go nie chce:

—Ktoś ty, pielgrzymie?—Smutno się zowie:
Ten, który płacze.—Eh, podnieś skroń
I pójdz wraz z nami.—Próżno, druhowie!
Tajemna tutaj trzyma mię dłoń.

—Pójdz!—Nie!—Snadź lata cię osłabiły;
Czemu, przyniknąwszy oczy na wpół,
Stoisz tu w mroku bez ruchu, siły?
—Mogilny głaz mię z tem miejscem skut.

—Twą duszę całun nocy ocienił.
Czyż się nie boisz, stojąc tu sam,
Byś się powoli w posąg nie zmienił?
—Ja ziemię czarną już w sobie mam.

—Pójdz! Co tam robisz? Niebo się ścięło,
Wiatr ci włos rozwał biał jak śnieg.
—Czekam, by wzniosł się głaz nad mogiłą.
Który przyciska szaty mej brzęg.¹⁵⁾

1) Ks. V, 7, tom II, str. 23.

2) Ks. V, 8, tom II, str. 27. Ustęp ten wydrukowany tu jest po raz drugi; w swoim czasie zamieszczono go w Księdze lirycznej „Czterech wichrów ducha.”

3) Patrz w rozdz. II-gim pracy niniejszej przytoczone ustępy 20 i 21 z ks. V, tomu II, str. 62 i 55.

4) Ks. V, 20, tom II, str. 63.

5) Ks. V, 6, „Do dziecka,” tom II, str. 19 i 20.

1) Ks. V, 9, „Do dwóch wrogów-przyjaciół,” tom II, str. 29.

2) Ks. V, „Do dziecka,” tom II, str. 17.

3) Ks. V, 12, „Do Joanki,” tom II, str. 43.

4) Ks. V, 16, tom II, str. 53.

5) Ibidem.

6) Ks. V, 15, tom II, str. 52.

7) Ks. V, 18, tom II, str. 57.

1) Ks. V, 2, tom II, str. 5.

2) Ks. V, 3, „Do zakonnic,” tom II, str. 7.

3) Ks. V, 4, tom II, str. 9.

Powtórę, poeta wrócił z wygnania starcem, czuł tę swą starość, czuł stopniowe zbliżanie się śmierci, czuł upadek sił, pewne zniechęcenie fizyczne—i mimowolnie nie mógł oprzeć się smętkowi jakimś, jakiejś melancholii chmurnej na widok tego stopniowego zanikania życia. Przebija to uczucie z niepozabawionego lekkiej goryczy sonetu (jednego z liczby pięciu, jaką znaleźć można w kilkunastu tomach pism poetyckich W. Hugo): *Ave dea, moriturus te salutat* ¹⁾ oraz ze smętnej refleksji, która zakończyła ten rozdział „Calej Liry,” a którą przytaczamy w całości:

Starzec się codziennie wśród gęstszych mroków
[budzi,
Co ranek większym trupem idzie między ludzi;
Bo życie ludzkie, ta nędzna nić,
Pęka zwolna, gdy duch się wyrwa skrzydlaty;
Chmurny ptak ów więziony chce wlecieć nad
[światy,
Rwie pęta—człowiek przestaje żyć.

Umieraj, białe czoło! Noc cię wciąż czarniejsza
Oblekał Twój głos słabnie, twa siła się zmniejsza,
Twe oko, w którym się zwięził tak
Widnokrąg, gaśnie. Los ten każdemu z nas pada.
Podobnie zamykają się, gdy noc osiada,
Okna w domowstwach—snu pewny znak. ²⁾

Z posępnych rozmyślań o zmarłych blizkich budziła poetę zazwyczaj wiosna, uprzyjemniona wesołymi szczyboty ptasząt i dzieci; starzec rozweselał się, odżywał, marzyć nawet młodzieńczo zaczynał: „Wiosna zawsze jakoś dziwnie mnie rozrzuśnia. Kwiecień jest ślicznym, rzewnym, ukwieconym dzieckiem, a ja czuję wobec dzieci i wobec wietrzyka wiosennego dziwną jakąś potrzebę płakania i śmiania się. Maj uzupełnia mą radość i dołącza się do mych lez radosnych. Jean-ko, Jerzyku, chodźcie, patrzcie co tu kwiatów! Chodźcie: las śpiewa, błękit złotem płonie, powinniście widzieć wschodzącą jutrzeńkę. Ja jestem stary marzyciel—i potrzeba mi was. Pójdźcie! chcę kochać, być dobrym, być słodkim, wierzyć, dziękować wszystkiemu za wszystko, żyć, nie wyrzucając różom ich kółców, być sobie zwykłym śmiertelnikiem... O wiosno! o puszcze święte! o niebios głęboki błękitcie! Czujemy wiec ożywczego powietrza, który nas wskroś przenika, słyszymy w oddali otwarcie się jakiegoś białego okienka, mieszmamy myśli swe z przedziwnym światłocieniem wód, błogo nam być z ptaszkami i patrzeć przez zasłony wiosennych gałązek, jak ci panowie do tych pań się umizgają.” ³⁾

Myśl o własnej śmierci nie była poecie tak przykra; łagodziła ją cześć ogólna, jaką był w ostatnich dniach życia otoczony, i przekonanie, że umrze kochany i żalowany przez lud, któremu sam w ciągu życia taką lwią część uczucia swego oddawał. Niemal proroczo przepowiedział swój koniec:

Tu seras le mourant aimé;
On murmurerà dès l'aurore,
A ton seuil à demi fermé:
Déjà! mélé de Pas encore! ⁴⁾

Na wieść o konaniu wielkiego wieszczka zmiłkły wszystkie zawiści, nienawiści, uprzedzenia—i Paryż cały stał u jego drzwi, dowiadując się z niepokojem: czy czasem nie spełnił się już fakt żaloszny, drżąc na każdą wieść o pogorszeniu stanu dostojnego umierającego, a radując się szczerze, gdy lepszą z nawiedzonych przez chorobę progów wyniesiono mu wiadomość. I po świecie całym telegramy roznosiły te tak oczekiwane przez wielbicieli genialnego poety nowiny, a wszędzie znajdowały tylko współczucie, niepokój, żal, boleść i smutek. Uśmiechano się, i nawet słowa

sztyderstwa znajdowano, w tej świętej i nakazującej poszanowanie chwili, tylko u „przodujących w cywilizacji” sąsiadów Francji zza Renu...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Jedna z mieszkanek Warszawy, licząca lat ośmnaście, wypracowała historyczny atlas naszego miasta na podstawie materiałów zebranych przez Weinerta i Sobieszczańskiego. Dokonanie dzieła poprzedziły długie studia nad historią ulic i gmachów. Szlachetna, piękna wiosna życia!

— Naczelniczka jednego z przemysłowo-rękodzielniczych zakładów warszawskich dla kobiet, w którym udzielana jest i nauka krawiectwa kobiecego, podała do Magistratu prośbę o zapisanie jej do cechu krawieckiego. Magistrat odmówił na zasadzie, iż kobietom nie przysługują u nas prawo należenia do cechów rzemieślniczych.

— P. Chelmiczka otworzyła przy ulicy Widoł (Nr 22) zakład haftów artystycznych złotem, srebrem i jedwabiami kolorowymi.

— W Petrokowie, w zakładzie robót kobiecych p. Hołubskiej, uczyło się w roku bieżącym wyrobu koronek, dziewcząt 13. Nauka koronek została czas jakiś wstrzymana, a natomiast rozpoczęto naukę szycia, cerowania i robót drutowych, na którą uczęszcza dziewcząt 15. Szmuklerstwa uczy się ich 3, robót deskowych 3. Razem uczyło się w zakładzie uczennic 34. Zakład wykonywane przedmioty sam zbywa i sprzedaje. Z koronek pozostaje do zbycia 74 łokcie. Zamawiać można w zakładzie wyroby dżetowe, szmuklerskie i inne. Od Nowego Roku otwiera się w temże mieście zakład rękodzielniczy dla kobiet p. Piaszczyńskiej. Zakład zamierza nauczać wszelkich rzemioł, przypadających na dział pracy kobiecej.

— Nagrody z funduszu Szymona Krzeczковского przyznawane wychowankom *Towarzystwa Dobroczynności*, oddawałym do służby, otrzymały w roku bieżącym „za gorliwe spełnianie obowiązków”: Paulina Zielonka rs. 22; Maryanna Lewin, Cecylia Słupecka i Józefa Ambrozjak po rub. rs. 15. Dozorczyniom prowadzącym Kasy Oszczędności przyznano: po rs. 8 dwudziestu czterem, po rs. 7 pięciu. Dwom wychowankom zakładu udzielono z funduszu Kurnatowskiego po rs. 18; na *Gwiazdkę* dla sierot dziewczynek przeznaczono rs. 20. Obecnie znajduje się w Zakładzie Sierot dziewcząt 70 (chłopców 141). *Towarzystwo* w wydziale swoim „sierot i ochronek” zaprosiło na opiekunki Ochrony V p. Maryę Leya i Zofię Siedlecką.

— Galicyjska pani, Felixa Czarkowska z hr. Golejewskich, ufundowała, jak wiemy, instytucję pomocy dla rzemieślników i przemysłowców pochodzenia polskiego, składając na ten cel 100.000 złotych reńskich. Obecnie przeciwieźna ofiarodawczyni podniosła dar swój do 200.000 złotych reńskich; dodając przeciwieź w zmienionej w ten sposób ustawie fundacji swojej warunek, aby działała na korzyść: „rękodzielników i przemysłowców pochodzenia polskiego, podejmujących w kraju zawód rękodzielniczy lub przemysłowy.” Stypendya od 300 do 1.000 zł. reń. udzielane też będą kształcącym się w szkołach i pracowniach rękodzielniczych, lub przemysłowych, oraz tym, którzy po ukończeniu wykształcenia zawodowego potrzebują zwiedzać szkoły i zakłady zagraniczne. Na ten cel obracać będzie połowa czystego dochodu z majątku fundacji; druga połowa służyć ma na zasiłki dla tych rękodzielników i przemysłowców, którzy, ukształcwszy się już należycie do pracy w zawodzie swoim, chcą otworzyć pracownię własną. Zasiłki mają być zwrotne, ale bezprocentowe. Sty-

pendya dla kształcących się w kraju nie mają przynosić 500 zł. reń. Fundacja ta mająca nosić miano fundatorki: „Fundacja Felixy Maryi z hr. Golejewskich Czarkowskiej,” zaczęła działać zaraz po śmierci ofiarodawczyni.

— Na uniwersytecie w Pradze studjuje obecnie rodaczek naszych 9.

— W Nowym Yorku otworzyła p. Wanda Szulcówna malarnię na porcelanie, rozwijającą się bardzo pomyślnie. Na zeszłorocznym konkursie Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych artystka ta otrzymała dyplom uznania.

— Fabryczna praca kobiet, będąca klęską rodzin i moralności, a jako tańsza od męskiej, dająca korzyść tylko wyzyskującym ją przemysłowcom, wzrasta coraz na Zachodzie Europy, rugując z pola pracy męczyznę, a rodzinie zabierając matkę i gospodynię. Przeszłoroczne wykazy niemieckich komisarzy przemysłowych, znane czytelnikom naszym, przedstawiły obrazy najsmutniej nienaturalnego stanu rzeczy, który prowadzi do rozstroju wszystkiego, co jest w pojęciach naszych porządkiem i dobrobytem wśród ludzkości. Obecnie w Anglii poruszona kwestya fabrycznej pracy kobiet wykazuje podobnie nieszczęśliwe rezultaty, będące następstwem nowych wynalazków w zakresie maszyn, które czyniąc pracę lżejszą zniżyły jej cenę i zarazem pozwoliły kobiecie zastąpić męczyznę. W przeciągu ostatnich trzech dziesięcioleci lat, rzecz przedstawia wyniki następujące: W fabrykach Anglii i Walli pracowało w r. 1861 męczyzn 202.000, kobiet 264.000; w r. 1871 męczyzn 193.000, kobiet 286.000; w r. 1881 męczyzn 190.000, kobiet 310.000. W wykazach komisarzy niemieckich znajdowały się wzruszające szczegóły, jak wrodzone kobiecie i przez wiekową tradycją wszczepione uczucia izamłowania nie dają wygluzować się z serca, tam zwłaszcza, gdzie nieszczęsne wykołajenie nie zepchnęło jej jednak z drogi uczciwości. Zmęczona ciężką pracą całodzienną, jeszcze chwytą się wieczorem pewnych zajęć domowych — zajęć szczególnie koło dziecka. Stan zdrowotności klas pracujących ulega smutnej zmianie wszędzie tam, gdzie kobieta pełni nienaturalną pracę robotnicy fabrycznej: dzieci rodzą się nędzne, a karmienie sztuczne zwiększa ich śmiertelność w sposób zastraszający.

— W roku przyszłym ma się odbyć w Paryżu podczas wystawy Kongres kobiecy. Przewodniczącą będzie niejaka M-elle Barberousse, ochmistrzyni szkoły kobiet. Kongres, mający trwać miesiąc, przez trzy pierwsze tygodnie będzie wyłącznie francuzkim i dopiero w ostatnim tygodniu stanie się międzynarodowym. Polityka jest zupełnie usunięta z programu i tylko praktyczne kwestye pracy, zarobku i stanowiska kobiety wśród społeczeństwa staną się przedmiotem obrad. Postanowieniem zostało na zebraniu, które zajmuje się urządzeniem kongressu, zaproszenie wszystkich wyższych i odznaczających się kobiet, których liczba, według sporządzonej listy, wynosi przeszło 25.000 osób. W rzeczywistości nie dosięgnie ona zapewne i czwartej części uczestniczek, bo dzisiejsza Francja nie budzi już ani ufności, ani sympatii dawniejszych. W każdym razie nie można jeszcze przesądzać, czy to ma być zebranie wyemancypowanych amazońek, bo wśród warunków mieszczańskich się w zaproszeniu zamieszczono i ten, że panie zamężne mogą wprowadzić ze sobą mężów.

— W konserwatorium paryżkiem pierwszą nagrodę za kontrapunkt otrzymała kobieta M-me Gautier; pierwszą nagrodę za grę na organach także kobieta: młoda panna, niewidoma M-elle Boulay.

— Młoda Rumunka, córka generała Arion, studująca na uniwersytecie Paryżkim, zyskała stopień bakalarki filozofii *cum laude*.

— Na czterech uniwersytetach Szwajcarii: w Zurychu, Bernie, Genewie i w Bazylei studjuje obecnie 197 kobiet, a w tej liczbie jest tylko 21 Szwajcerek. Na medycynę uczęszcza ich 103, reszta, to jest 94, na wydziale filozoficznym kształci się do zawodu nauczycielskiego.

— W Hollandyi kobiety są strażnikami przy zbiegu kolei żelaznych i od czasu, jak ta służba

1) Ks. V, 19, tom II, str. 58.

2) Ks. V, 25, tom II, str. 75.

3) Ks. V, 24, „Po zimi,” tom II, str. 78.

4) Ks. V, 26, tom II, str. 77. „Będiesz ukochanym kochającym. Od świtu u drzwi twych wpołprzymkniętych słychać będzie szepty pomieszane: Już!—Jeszcze!—nie!”

bezpieczeństwa publicznego została tam powierzona kobiecie, nie było ani jednego wypadku spotkania się pociągów.

— Karolina Widerström, Szwedka, pierwsza pomiędzy kobietami swego kraju doktorka medycyny, została mianowaną przez Stowarzyszenia Ubezpieczenia na życie, istniejące w mieście Tula, lekarzem stowarzyszenia, badającym stan zdrowia kobiet, pragnących wejść w grono jego członków. Od chwili gdy rzecz ta kobiecie powierzona została, liczba pań stowarzyszonych pomnożyła się znacznie.

— Lady Carrington, małżonka generalnego gubernatora prowincji australijskiej: New South Wales, napisała list otwarty, ostrzegający Europejki emigrujące do Australii a nawet i do Ameryki, zwłaszcza w Stanach Północnych, że nie potrzeba tu już wcale bon, nauczycielek, osób dających lekcje muzyki, i że praca ręczna popłaca tu o wiele lepiej, poczynając od prostych sług: kucharki, pokojówki, szwaczki, bo tych brakuje. Amerykanka nie chce już służyć.

— Kobiety inspektorki, przeznaczone w Ameryce do pilnowania porządku na drogach żelaznych odnośnie do kobiet, otrzymały prawo aresztowania mało uczciwych i względem kobiet gburowatych konduktorów. W Anglii funkcyjują również na drogach żelaznych podobne inspektorki, a przytem są w wielkich miastach i policyantki „matrony policyjne,” którem pod straż oddawane być muszą wszystkie aresztowane kobiety. Pełnią one służbę dzienną i nocną przy wszystkich komissarzach policyi każdego cyrkulu.

— Przyjaciółka Mazziniego, Me Venturi, jest pilną reporterką, spisującą dla pism irlandzkich protokoły processu i badań sądowych Parnella w Londynie.

— Uśmiercona przedwcześnie Mrs Beecher Stowe, upoważniła do napisania biografii swojej literata amerykańskiego Kirk Monroe, który współpracując z jej synem, C. E. Stowe, zajęty jest właśnie tą pracą. Książka ukaże się w druku dopiero w 1889 r. Między interesującymi jej szczegółami będzie podana w całości i dowodnie prawdziwa historia faktów, które się złożyły na powieść: „Chata Wujka Toma.” Wskazane zostaną wszystkie źródła, z których autorka czerpała, wszystkie osoby, które jej dostarczyły wiadomości potrzebnych.

— Angielska powieściopisarka, Mrs Hodgson Burnett, otrzymała za ostatnią swą powieść 3.750 funtów sterlingów. Prassa angielska uważa o za największe honorarium, jakie kiedykolwiek kobieta dostała za pojedyncze dzieło.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności utrzymuje 26 Ochron, do których uczęszcza 3.744 dzieci.

— Plan Warszawy w skali 1 na 16.800, został odbity. Skopiowany w Lipsku przez firmę Baedekera, puszczony będzie w obieg w odbitkach litograficznych.

— Fabryka zegarów ściennych, otworzona w mieście naszym przy ulicy Okopowej, zajmuje sto robotników i robotnic. Obecnie wyrabia zegary okrągłe.

— Towarzystwo Ogrodnicze wyznaczyło dwie nagrody: jedną w summie 100, drugą 75 rs. dla ogrodników, którzy najmniej lat 10 pełnili obowiązki u jednego pracodawcy. Podania, wraz ze świadectwem wzorowego postępowania wydane przez właściciela ogrodu i stwierdzone podpisami dwóch sąsiadów, legalizowanymi przez władzę, należy wnieść po dzień 1 Stycznia na ręce sekretarza Towarzystwa, p. Szaniora.

— Na Kurpiach wyrób guzików z masy perłowej ma w ruchu 400 warsztatów. Zatrudnionych jest przy nich 730 robotników, przerabiających dziennie 500 funtów wspomnianej masy. Odbyt jest w samym Królestwie tak znaczny, że liczba robotników musi być o kilkaset powiększoną; przy fabryce grzebieni w Warszawie budują się też warstwy do wyrobu guzików. Zarząd fabryki zakupił w Australii cały statek, naładowany masą perłową; przywiezie on towar swój do Gdańska.

— Dla wdów i sierot po nauczycielach ludowych w Galicji przekazał prof. hr. St. Tarnowski całą swą pensję, którą pobiera jako członek Rady szkolnej. Wynosi ona rocznie 1.200 zł. reńskich.

— Matejko został członkiem honorowym wiedeńskiego Towarzystwa Artystycznego. Telegram wysłany przez Towarzystwo brzmi: „Generalne zebranie wiedeńskiego Artystycznego Towarzystwa uchwaliło jednogłośnie ku największej radości obecnych, wybrać Cię, najczcigodniejszy Panie Dyrektorze, członkiem honorowym Towarzystwa.” Podpisany był pod telegramem przewodniczący zebraniu. Matejko odpowiedział również telegramem, że „wobec powszechnego ignorowania wszystkiego, co polskie,” czyn ten Towarzystwa uwydatnia się charakterystycznie i przynosi mu wielką radość.

— Na konkursie poetycznym dla uświetnienia krakowskiego pamiątkowego wieczoru Mickiewicza otrzymał pierwszą nagrodę słuchacz uniwersytetu Krakowskiego Tetmayer za wiersz okolicznościowy.

— Tanie ilustrowane wydanie „Pana Tadeusza” wyszło w Krakowie nakładem firmy lwowskiej Altenberga. Wydawca pomniejszył sposobem fototypijnym posiadane rysunki Andriollego i wydał książkę tanio w zmniejszonym formacie. Wprawdzie rysunki, a zwłaszcza portret poety uciął na tem, ale to jest rzeczą najważniejszą, że jest dzieła wydanie popularne i ziszcza się pragnienie poety, aby to, co pisał, zawędrowało kiedyś pod wieśniacze strzechy.

— Sienkiewicz pociechy tej doznaje, i to w pełnej mierze. Nauczyciel ludowy w Galicji, Szymon Parasiewicz wydał świeżo dwie książeczki, zatytułowane, jako opowiadania z czasów Jana Kazimierza, a które są jakoby streszczeniem „Potopu” i „Wołodyjowskiego.” Rzecz wybornie dokonana. Opowiadania wyszły w szeregu książeczek lwowskiego „Wydawnictwa ludowego.”

— Towarzystw przemysłowców polskich jest w Prusiech 72; liczą one członków około 7.000, majątek Towarzystw jest przeszło 70.000 marek.

— Na wzór „Legendy Wieków” Wiktora Hugo, ma wyjść w Poznaniu nakładem księgarza Chociszewskiego wydawnictwo nasze historyczne zatytułowane: „Świątynia Sławy”. Poezye będą pióra p. Duchnińskiej.

— Dzienników polskich z opisem zgonu cesarza Fryderyka znajduje się 37 na wystawie poświęconej takimiż dziennikom, a odbywającej się we Frankfurcie nad Menem.

— W Melbourne, w czytelni tamtejszego Hygienicznego Towarzystwa Zdrowia znajduje się dzieł

polskich 48; czeskich jest 186, bułgarskich 3. Towarzystwo uprasza przez dzienniki wydawców naszych o zasilanie czytelni przez wzgląd na rodaków burzą losu daleko zagnanych. Książka jest tu jedynym, lecz silnym węzłem z krajem.

— Emigracya z Europy do Ameryki wynosiła w pierwszym półroczu bieżącego roku 529.818 osób. Są to liczby ogłoszone przez rząd Stanów Zjednoczonych. Największą liczbą: 107.624 osób jest z Niemiec. Tam-to mieszczą się biedni wychodźcy z Pruskiego Szlązka i innych naszych ziem pruskich.

— Kardynał Manning zajmuje się miłosiernie urządzaniem w Anglii szkół dla dzieci pochodzenia polskiego, aby nie były narażone na utratę wiary. Kapłan ten liczy już lat 80 wieku. Urodzony z rodziny wyznania anglikańskiego, przeszedł na łono Kościoła Katolickiego już w pełni lat i rozwoju umysłowego, bo w 1845 roku, został kapłanem i z prostego księdza, plebana wiejskiej parafii, doszedł do najwyższej godności w Kościele. Tytułami jego do otrzymanych zaszczytów są odpowiadające temu czyni, a to: zbudował 120 kościołów i kaplic, założył 9 seminariów duchownych, dziesięć wyższych zakładów naukowych, 2.000 szkół ludowych, 30 towarzystw robotniczych, 100 zakładów dobroczynnych. Bractwo wstrzemięźliwości, zorganizowane przez niego między ubogim ludem robotniczym bez różnicy wiary, liczy 100.000 członków. We wszystkich jego świeckich zakładach dobroczynności wyznanie nie stanowi żadnej różnicy.

— Liga irlandzka liczy w Anglii 595 galezi, czyli filii. Kongres ligi odbyty w Birminghamie stwierdził i wykazał to dowodnie.

Sprostowanie.

Cena książki wydanej w Warszawie

pod tytułem:

MASSAŻ

Sposoby wykonywania, zastosowanie i skuteczność w leczeniu chorób zewnętrznych i wewnętrznych

opracował

Dr. JÓZEF STARKMAN

Wynosi w Warszawie kop. 80 z przesyłką kop. 90, a nie kop. 60, jak w Nr 49 „Bluszczu” podano.

Do dzisiejszego numeru dla prenumeratorów dołącza się „Prospekt Pisma Tygodniowego Ilustrowanego BLUSZCZ.”

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy i 2 gi powieści pod tytułem: *Stargane życie*, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ. Sonet, przez J. K. Ehrenberga. — Szwab, (dalszy ciąg), Szkic do powieści, przez Teodora Jeske-Chońskiego. — Czytanie rodzinne, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Ze spuścizny olbrzyma, (dalszy ciąg), przez Miriam'a — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy i 2-gi powieści pod tytułem: *Stargane życie* przez Florentynę Marryat. — *Echa Lwowskie*. — 32 wzorów ubiorów i robót z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycya* stołu

Warszawa. — Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава 30 Ноября 1888 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.